Zeszyt 31. Lwów dnia 10. Listopada 1879 **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

POKUTA.

POWIEŚĆ

Józefa Rogosza.

(C. d.) Dzień następny, mimo głuchej już jesieni, właśnie wykopywano ostatnie ziemniaki, był nadzwyczaj gorący, a że w chacie Wasyla Mahomety miała odbyć się ceremonja wypędzania djabła, więc cała wieś uradowana z dobrej sposobności, postanowiła świętować i nic nie robić. Paroch w towarzystwie drugiego księdza, swojego sąsiada, jechał na bryczce, za którą toczyły się trzy wozy, jeden z półkoszkami, dwa drabiniaste. Dwa pierwsze miały po jednym koniu, ale dosyć rosłym i tłustym, trzeci parę wołów dobrze utrzymanych. Paroch prowadził te pociągi, aby zabrać dziesięcinę. Gdy karawana zatrzymała się przed chatą Wasyla, którą od świtu oblęgało kilkaset osób różnej płci i wieku, ks. Hawryłowycz przystąpił najpierw do odebrania dziesięciny, co kilka godzin zajęło; dokładność, z jaką tę czynność odbywał, wprawiała w zdumienie wszystkich obecnych. Nie tylko zabrał dziesiątą część zboża już wymłóconego i tego, które jeszcze w snopie leżało; nie tylko wziął źrebca, jednę krowę i ciele półroczne, ale bystre jego oko dojrzało nawet kilkanaście motków konopi i kilka wieńców cebuli, z których część dziesiątą także mu oddać musiano. Gdy już wozy przepełnione na drodze stanęły, ksiądz zarządził tak umyślnie bojąc się, by wiarołomny Wasyl samowolnie ich nie zatrzymał, zaczęła się ceremonja wypędzania złego ducha. Księża chodząc po chacie i budynkach gospodarskich, spiewali z djakami, kropili wodą święconą i ewangelje odczytywali, a baby we widły i kociuby uzbrojone, na których czele stanęła Jewdocha, takie szalone krzyki wyprawiały, potrząsając swoją bronią, że gdyby nawet był djabeł, musiałby się wynieść nie tylko od Wasyla, lecz także z wszystkich chałup sąsiednich. Po skończonym obrzędzie, karawana, na której czele obok księdza szedł Wasyl z głową odkrytą, ruszyła do cerkwi. Tu zaczęła się najpierw Msza święta, potem kazanie, a przy końcu Wasyl musiał złożyć uroczyste przyrzeczenie, że więcej pić nie będzie. Podczas gdy to się działo w cerkwi, na dworze, stosownie do wymagań ceremonji, parobcy księdza potrzykroć obwozili dziesięcinę dokoła cerkwi, a że ziemia była nierówna, więc biedne koniska, z których każdy musiał ciągnąć wóz dobrze naładowany, popociły się jak myszy. Nawet z wołów, chociaż dwa były przy jednym wozie ziemniakami napełnionym, woda się lała. Dobrze już było z południa, gdy Wasyl wracając do domu słuchał z zadowoleniem kilku sąsiadek, z których jedna widziała, jak *Win* uciekał oknem, druga, że *Toj* czmychnął otworem w strzesze, a znalazła się i taka, która powtarzając co dwa słowa: *Bihme*! utrzymywała, że djabeł wydostawszy się z chaty, widząc, że Jewdocha swoim krzykiem najbardziej mu dokucza, skoczył najpierw w jej gębę otwartą, aby się na niej zemścić i do milczenia ją zmusić, wróżka jednak go poczuwszy, tak silnie plunęła, że *Win* znalazł się od razu aż za siódmą granicą, z kąd pewnie więcej nie wróci, gdyż od chaty Wasyla oddzielają go drogi krzyżowe, na których stoi kaplica.

Podczas gdy włościanie tak rozmawiali, paroch rozpromieniony wracał do domu. Księdzowa i słudzy oczekiwali go jak tryumfatora. Lecz jak boleśne miało wkrótce nastąpić rozczarowanie! Właśnie obadwa księża zjadłszy dobry objadek, zasiedli do ulubionego s t r a s z a k a, którego w Galicji f e r b l e m nazywają, gdy do pokoju wpadł Iwaś, z twarzą wybladłą, przestraszoną i włosem zjeżonym.

— A tobie co? — paroch po rusku zawołał.

— *Jegomostuniu!* — krzyknął chłopak — *wże je u nas!*

— Kto taki?

— *Win!*

Ksiądz przeżegnał się, patrząc na swego parobka.

— Czyś zwarjował, czy co!

— Ktoby tam warjował jegomostuniu. ale *Win* jest, *Bih me* jest, przywieźliśmy go od Wasyla! Jak my przyjechali, wyprzągłem konie, zaprowadziłem do stajni, ale zaledwie rozwiązałem worek, do którego Mahometa owies wsypał, *Win* wyskoczył z worka, żygnął ogniem i wlazł w konia, który zaraz kopyta zadarł.

— Co, koń zdechł?! — krzyknął ksiądz przerażony.

— Ta zdechł, proszu jegomostuniu... *Win* siedzi teraz w stajni na żłobie...

Ksiądz, jego gość, księdzowa, cały dom wybiegł na podwórze, na którem już kotłowało. Wiadomość, że zły duch przyjechał z księdzem i w jego stajni główną stanął kwaterą, rozeszła się lotem błyskawicy, to też sąsiedzi gromadzili się ze stron wszystkich. Jedni krzyczeli na podwórzu, drudzy stali za węgłami domu drewnianego, ale nikt nie miał odwagi, wejść do stajni, która szczelnie była zamknięta. Iwaś uciekając, zatrzasnął drzwi za sobą. aby zły duch przypadkiem za nim nie pospieszył. Paroch zmartwiony, rozgniewany, poszedł do stajni. Chłopi widząc to, przejęci grozą najwyższą, cofnęli się aż pod płot, którym probostwo było ogrodzone. W stajni koń w rzeczy samej leżał nieżywy, a że jeszcze był spocony, więc najmniejszej zdawało się nie ulegać wątpliwości, że padł w skutek nadzwyczajnego zmęczenia. Paroch rozkazał parobkom, by konia ze stajni wyciągnęli, lecz żaden się nie ruszył; każdy bał się by go *Win* nie porwał. Nie pomogły nawoływania, krzyki, przekleństwa, których duszpasterz nie oszczędził. Parobcy znieśli to obojętnie, przenosząc gniew jegomości, nad śmierć w szponach szatana. Kto wie czy biedne konisko, które na dziesięcinie tak źle wyszło, nie byłoby w stajni przenocowało, gdyby losy szczęśliwe nie były przyprowadziły dwóch niemieckich kolonistów, we wsi mieszkających, którzy usłyszawszy co się dzieje na probostwie, przyszli zobaczyć jak ruski djabeł wygląda. Na prośbę parocha, wyciągnęli konia, zaprzęgli wóz wołami, a położywszy na wierzchu w kwiecie wieku zgasłego rumaka, powieźli go aż za granicę wioski, na drogi rozstajne, bo tak sobie i ksiądz i włościanie życzyli. Nie koniec jednak nieszczęściom dnia tego; gdy Niemcy wracali, jeden wól potknął się w samej bramie i nogę złamał, drugi zaś ledwie go do stajni wprowadzono, położył się i zdechł tak samo, jak ów koń, którego odwiózł przed chwilą. Co się wtedy działo na probostwie żadne pióro nie opisze. Nikt nie zapytał, czy woły jadły cokolwiek przez dzień cały, i czy ich kto nie poił, gdy były bardzo zmęczone, a wszyscy krzyczeli, że to sprawa złego ducha. I nietylko wieśniacy to twierdzili; tym razem sam ks. Nykoła Hawryłowycz podzielał ich przekonanie, najświęciej wierząc, że sobie djabła przywiózł do domu. Chcąc złe zażegnać, wypuścił wszystko bydło na podwórze, i własnemi rękami powyrzucał dziesięcinę, którą przywiózł od Mahomety, lecz gdy mimo tych środków heroicznych, wszystkim ciągle się zdawało, że *Win* nie ustąpił, paroch kazał zaprządz do bryczki, napisał list do ks. Kaczorskiego i wysłał z nim jednego z odważniejszych gospodarzy. Proboszcz dowiedziawszy się z listu, że paroch ze Żurawki pragnie go u siebie zobaczyć, siadł natychmiast i pojechał. Jakież atoli było jego zdziwienie, gdy zajechawszy do sąsiada, dowiedział się w jakiej go tenże sprowadził intencji. Oto ks. Hawryłowycz chciał nie mniej i nie więcej, jeno by ks. Kaczorski z jego domu djabła wypędził. Nasz kapłan, wypytawszy ludzi o bliższe szczegóły, zamknął się z parochem w jego pokoju, i sam na sam rozmawiał z nim przeszło godzinę. Potem wyszedłszy, oświadczył zgromadzonym na podwórzu ludziom, że djabła nie ma już na probostwie. I rzecz zaiste godna zastanowienia, że ci sami włościanie, którzy niedawno jeszcze tak wierzyli w obecność złego ducha, teraz zaufali ks. Kaczorskiemu. Taką prawdą tchnęło każde słowo tego zacnego kapłana! Co do parocha, ten także uwierzył, i od tego czasu ani djabłów więcej z niczyjej chaty nie wypędzał, ani chłopów nie zdzierał. Proboszcz zaś z Garbowic miał odtąd nawet między Rusinami sławę człowieka świętego, na którego widok djabeł natychmiast ustępuje.

VIII.

Za długo może zatrzymaliśmy się przy ks. Józefie, zapominając, że mieszkańcy dworu w Przyboczy, między niemi szczególnie panienki i danserowie, pałali tymczasem żądzą wyruszenia jak najprędzej do państwa Armatowiczów, których salony już od godziny były rzęsiście oświetlone. Zajechały nareszcie powozy i wózki, wsiadły panie, później panowie, i towarzystwo ruszyło do Żurawki, odległej od Przyboczy o pół godziny dobrej drogi.

Wśród ogrodu otoczonego smukłemi topolami, widać było budynek piętrowy, noszący nazwę pałacu, przed którym stało kilka ekwipaży, a z nich kolejno goście wysiadali. Jak skoro który był już próżny, odjeżdżał bądź ku stajniom, stojącym w niedalekiem oddaleniu, bądź przez bramę murowaną wracał do wsi, gdzie w karczmie szukał pomieszczenia. Pan Armatowicz umiejąc uczcić każdego gościa w miarę jego zasobów materjalnych i stanowiska, jakie w społeczeństwie zajmował, polecił służbie, by bogaczów i hrabiów w pałacu zatrzymywała, konie zaś szlachciców jednowioskowych i dzierżawców bez wahania do karczmy odsyłała. Służba przestrzegła rozkazu z wielką sumiennością, skutkiem czego stajnie pałacowe były jeszcze próżne, gdy przeciwnie nie tylko główna karczma, lecz także obie mniejsze, zaledwie mogły pomieścić półkocze, wózki i dryndulki.

Pałac był piętrowy, w stylu czysto kolejowym, w którym nie ma ani stylu, ani smaku dobrego, budową bowiem kierował jakiś inżynier kolejowy; miał on u dołu zajazd o sześciu czworobocznych kolumnach, ale tak wązki, że nie tylko powóz, lecz nawet wózek dziecięcy nie potrafił by

się przemknąć tamtędy — pod dachem zaś widać było tarczę herbową, na której bujna wyobraźnia budowniczego kazała umieścić działo z lawetą roztrzaskaną. Miał to być herb rodziny Armatowiczów. Że z armatą, a właściwie z moździerzem kościelnym, ich poprzednicy mieli coś do czynienia, to najmniejszej nie ulegało wątpliwości, ale że mimo tego zamiłowania wojowniczego, Armatowicze nigdy szlachtą nie byli, o tem właściciel Żurawki najlepiej sam wiedział. Jeżeli mamy prawdę wyznać, pan Kajetan nie dbał, czy jest szlachcicem, i byłby o tem nigdy nie pomyślał, gdyby nie żona jego, z domu Piskorska, która nie mogąc przenieść na sobie, by po mężu nie była szlachcianką, kazała budowniczemu koniecznie herb stworzyć. Ojciec dzisiejszego właściciela Żurawki, był sobie prostym Ormjaninem z Łyśca pod Stanisławowem, i nazywał się Paczuk co go bardzo martwiło, złośliwi bowiem niby przez zapomnienie „paciukiem“ lub „wieprzkiem“ go przezywali. Długo myślał; jakie by sobie przybrać nazwisko, dopóki nie wpadł na dobry koncept. W zwyczaju było u niego, że w święta uroczyste strzelał z moździerza pod kościołem, co mu wielką przyjemność sprawiało, a gdy zasłyszał, że z tego powodu ten i ów armatą go przezywa, oburącz chwycił się tego nowego przezwiska, i tym sposobem najpierw został Armatą, później jeszcze łatwiej panem Zacharjaszem Armatowiczem.

Gdy nasi znajomi weszli do sali, w której było już zebranych osób kilkadziesiąt, gospodarz zbliżył się do pana Zapolskiego, a uścisnąwszy mu raz jeszcze rękę, rzekł:

— Jaki ja szczęśliwy, że sąsiad dobrodziej przywiózł tyle pięknych osób. Jak mego pana Boga kocham od dwudziestu *pięciuch* lat nie miałem równej przyjemności.

Pan Zapolski odpowiedział z ukłonem:

— Przyjemności prawdziwej raczej my doznajemy, mogąc oglądać taki przepych iście książęcy.

Gospodarz roześmiał się na całe gardło.

— O! co prawda, to prawda... że przepych *je*, tego nikt nie zaprzeczy. Dzisiejszy bal zrobi *feror* na kraj cały. Już od wczoraj goście się zjeżdżają. Jak mego pana Boga kocham *czternastuch* przyjechało *eilwagenami* i *sznelcugami*.

— Warto bo też być na balu w takim pałacu, danym przez gospodarza słynącego z gościnności staropolskiej.

Pan Armatowicz znowu się roześmiał.

— Co pałac, to pałac! Jak mego pana Boga kocham ja sam robiłem *planetykę*, ale trzeba było *stalennego* zdrowia, żeby go skończyć. Bo to nie żarty panie dobrodzieju, w pałacu jest dwadzieścia i dziewięć *obligacyj! Póty stało*, takem się namęczył.

Kto nie znał dobrze pana Armatowicza, ten z nim rozmawiając, był nie raz w wielkim kłopocie, właściciel bowiem Żurawki, chcąc popisywać się erudycją, bądź przekręcał obce wyrazy, bądź ich najniewłaściwiej używał. Zamiast „furore“ powiedzieć „feror“, zamiast plan, „planetyka“, a zamiast ubikacja, „obligacja“ to było u niego na porządku dziennym.

— Dwadzieścia dziewięć ubikacyj! — poprawił pan Zapolski — doprawdy, to nie żarty!

— Jeśli sąsiad pozwoli, to się trochę przejdziemy... tańce i bez tego jeszcze się nie zaczną, bo wpierw będziemy mieli koncert... ale jaki koncert! Przekona się sąsiad dobrodziej, że nawet Liszt tak nie spiewa jak panna Rypsia! Zanim więc zaczną grać i spiewać, oglądniemy cały pałac i potem *wrócimo*.

— Bardzo chętnie!

Pan Armatowicz, zapomniawszy naukę żony, która mu powtórzyła najmniej sto razy, że grzeczny gospodarz tak długo powinien gości u drzwi przyjmować, dopóki wszyscy się nie zjadą, wziął sąsiada pod ramię, a sprowadziwszy go po wschodach, zaczął oględziny od dołu, żeby, jak twierdził, pierwsze piętro lepiej się potem wydało w oświetleniu „brabanckiem“. Czy on pod tem rozumiał oświetlenie rembrandtowskie, trudno to odgadnąć, ale że często mówił o oświetleniu brabanckiem, wszyscy ci pamiętają, którzy pana Armatowicza mieli przyjemność bliżej poznać.

Zanim zwidzimy główniejsze „obligacje“ w pałacu, powiemy jeszcze słów kilka o panu Armatowiczu, w każdym bowiem razie jest to okaz nie codzienny, znany dobrze na Pokuciu, ale zupełnie nie znany w innych częściach Polski.

Ongi, gdy do nas zjeżdżali się kupcy z dalekiego Wschodu, napływali także Ormjanie, a że im się lepiej podobały kurne nasze chaty, niż ich nory w ziemi kopane, więc coraz liczniej poczęli osiedlać się w dolinie Prutu, okolica ta bowiem była i cieplejsza i urodzajniejsza niż inne. Powoli Ormjanie zostali Polakami, gdyż po ormjańsku mówić zapomnieli, i przywiązali się do ziemi, która ich żywiła, lecz mimo to nie przeistoczyli się do szpiku i kości. Ich wyglądanie, powolny sposób mówienia, głos prawie zawsze niski i nosowy, charakter, wreszcie upodobania, pozostały do dziś ormjańskie. Pochodzi to głównie ztąd, że do chwili obecnej kojarzą się najwięcej między sobą. Każdego Ormjanina poznasz zdaleka po dobrej tuszy, czarnych włosach, ogromnym nosie, cerze smagłej, dużych oczach i skórze na twarzy połyskującej, a jak bęben naciągniętej. Gdy usta otworzy, mówi niepoprawnie i zupełnie innym akcentem, niż prawdziwy Polak o miedzę z nim mieszkający, i choćbyś sto razy wszczynał z nim rozmowę o rzeczach rozmaitych, zawsze zejdzie na tytoń, który uprawia, kukurydzę, woły i kozy. Gospodarstwo i przemysł z niem połączony, są wszystkiem dla niego. Ormjanin jest oszczędny, pracowity, przezorny, skromny i wytrwały, to też biedny Ormjanin należy w Galicji do rzadkości. Ponieważ brak mu wyobraźni, będącej podstawą wszystkich wielkich talentów, przeto nie jest on żadną siłą cywilizacyjną, za to jako dobry pracownik przyczynia się do podniesienia kultury. Ormjanin nie ma zamiłowania do lite-

ratury, na sztukach pięknych nie zna się nawet tyle, co ślepy na kolorach, ale gospodarstwo jest u niego wzorowe, i podczas gdy żydzi wszystkich oszukują, jego jednego żaden nie oszuka. Co więcej, jeżeli kto kogo w pole wyprowadzi, pewnie Ormjanin żyda. Ztąd poszło, że w Galicji można czasem słyszeć takie twierdzenie: Żyd oszuka dziesięciu Polaków, Ormjanin dziesięciu żydów. Znaczy to innemi słowy, że jeden Ormjanin ma przezorności za stu Polaków. Ormjanin nie lubi wojować, i pieniędzy na cele wyższe, z których bezpośredniej korzyści nie odnosi, także dawać nie lubi. On jest najszczęśliwszy, gdy siedząc spokojnie w domu na to pracuje, by jadł, a na to je, by pracował. Jak wszystkie ludy wschodnie, nie lubi on czystości, wszakże wyjątek stanowią kobiety, które pod tym względem stosują się do wymagań europejskich. Ormjanina, mającego miljon w kieszeni i brudny kołnierz u koszuli, nie trudno znaleźć; za to Ormjanki są zawsze czysto i strojno ubrane. Ludzi znakomitych Ormjanie nie wielu wydali i wydadzą; za to są oni wszyscy uczciwymi pracownikami, których na obszernej ziemi naszej niestety zawsze było za mało. Mają oni śmieszne nawyknienia, nie bardzo przyjemny sposób obejścia i ruchy nieestetyczne, lecz za to szanują tradycję, rozum i zasługę. Nie byliby oni wstanie zbawić narodu, lecz nie byli by go także nigdy zgubili.

Jednym z takich był pan Kajetan Armatowicz. Wzrostu był niskiego, tuszy okazałej, potrójny podbródek spoczywał mu na piersiach, w kłębach tak był szeroki, że na żadnym fotelu nie mógł się pomieścić, ręce miał tłuste jak poduszki, nogi grube jak konewki, i oczy bez wyrazu, a na wierzch wysadzone, co go do barana robiło podobnym — ale mimo takiego wyglądania, od rana do wieczora był zajęty, i tak znakomicie gospodarzył, że chociaż jego pani lubiła puszczać pieniądze, Żurawka należała do najlepiej zagospodarowanych majątków w kraju, jej zaś właściciel do obywateli najzamożniejszych.

Oglądanie pałacu zaczęło się więc od sieni, która była czworoboczna. Na prawo wiodły drzwi do pokojów gospodarza., na lewo do obszernej sali jadalnej, kredensu i oranżerji. Pan Zapolski stanąwszy na dole, spojrzał ku górze.

— Prawda jakie malowidło! — zawołał gospodarz — sam Matejko nie potrafił by lepiej sieni pomalować! Z początku *korciało* mnie sprowadzić ze Lwowa jakiego malarza, ale ponieważ każdy z nich chciał sum *babilońskich*, więc *nonens vonens* poszedłem po rozum do głowy i kazałem przywieźć Lejzora z naszego miasteczka, który przecie jest także malarzem. Żyd biedny jak *Piotrawin* i trochę *głupciowaty*, zgodził się więc tanio, wziął się zaraz do roboty i ot jaka sień wspaniała. A widzi sąsiad, jakie tam *straszenje w górze łuno bije?*

Pan Zapolski spojrzał na sufit sieni, wznoszący się ponad pierwszem piętrem. Genialny malarz, chcąc tam przedstawić pożar, czy krwawy zachód słońca, widzowi zostawił on wolne pole do domysłów, tyle barw jaskrawych razem połączył, że pan Armatowicz w bujnej swojej wyobraźni wziął to za łunę, i bardzo się dziwił, jeżeli kto jego zdania nie podzielał. Zbytecznem było by dodawać, że cała sień była wymalowana w tym samym stylu co sufit. Pani domu, mająca więcej smaku, nie była by na coś podobnego zezwoliła, gdyby nie okoliczność, że od dłuższego już czasu, bo od pierwszego roku po wyjściu za pana Armatowicza, a więc od lat dwudziestu, mieszkała ciągle w mieście, rzadko na wieś zaglądając; w ostatnim zaś roku do Żurawki wcale nie przyjeżdżała, bojąc się, by wśród kurzu i zapachu pokostu, czem pod koniec budowy atmosfera była przepełniona, jej słabe nerwy bardziej nie ucierpiały; przyjechała też dopiero na czternaście dni przed balem, więc chociaż nie jedno jej się nie podobało, dla braku czasu nie mogła żadnych zmian zaprowadzić.

W murze, obok wschodów, aby wszystko odpowiadało wspaniałości pałacu, były niewielkie nisze, w których miały stanąć rzeźby; gdy się jednak okazało, iż rzeźby drogo kosztują, więc pan Armatowicz kupił trzy figurki gipsowe, i w każdej niszy jednę umieścił. Pierwsza przedstawiała żydówkę bób sprzedającą; druga żyda, kupującego stare suknie; trzecia żydziuka wyjadającego palcem miód z garnuszka. W przekonaniu pana Armatowicza, każda z tych figurek była arcydziełem skończonem, bo nie tylko była pomalowana, lecz każda miała w dodatku głowę tak urządzoną, że za najlżejszem dotknięciem chwilę się poruszała.

— To mi sztuka i kawałek — mówił, za nos ciągnąc żydówkę — a nie jakieś tam boginie niemoralne, których nikt nie rozumie, chociaż drogo kosztują. To mi prawdziwa *plastetyka!*

Mieszkanie pana Armatowicza składało się z dwóch pokojów: w pierwszym stało kilka gratów starych i kurzem okrytych, pięć worków zbożem napełnionych, pod stołem zaś i w kątach widać było najrozmaitsze rupiecie gospodarskie, począwszy od pił, a skończywszy na kawałkach skóry, służącej do naprawy uprzęży. W pokoju drugim stało łóżko, nieprzesłane od tygodnia, i z brudną jak noc pościelą, kasa żelazna i spora beczka z wódką, której zapach rozchodził się po obydwu pokojach. Ponieważ po pieniądzach w kasie przechowywanych, w przekonaniu pana Armatowicza, wódka była dla gospodarza najważniejszym skarbem, przeto klucz od sypialni nosił on zawsze przy sobie, i dla tego rzadko kiedy mogła mu służąca łóżko przesłać. Co do pani domu, ta się tu nigdy nie pokazywała. Mąż wcale się za to nie gniewał, i uważał się za najszczęśliwszego, jeżeli po ciężkiej pracy mógł nierozebrany rzucić się na łóżko i usnąć w przyjemnym zapachu gorzałki, którą między robotników własnoręcznie rozdzielał. I nie tylko w nocy sypiał. Tej przyjemności używał on zawsze po obiedzie, a w lecie nie mogąc znieść upałów, leżał ciągle na łóżku jak odyniec w barłogu.

Obok mieszkania gospodarza, był pokój obity tapetami niebieskiemi w złote prążki, zastawiony łóżkami, krzesłami, kanapami, umywalniami i całą kolekcją innych mebli. Pan Zapolski otworzywszy drzwi, cofnął się, sądząc, że wszedł do składu; gospodarz prędko go jednak z błędu wyprowadził.

— A co?! — zawołał — pokój gościnny co się zowie! Sam cesarz mógł by tu mieszkać. Jest *teoletka*, łóżko na *sprzężynach*, *szafonierka* z drzewa *hebaumowego*, chyba ptasiego mleka zabraknie. A to mi pokój! Niech sąsiad dobrodziej umyślnie tu kiedy na noc przyjedzie... przekona się sąsiad, że mu pod sufit każę wyścielić... będziesz spał jak sam król!

Po zwidzeniu sali jadalnej i innych pokojów na dole, gospodarz wprowadził gościa na górę kręconemi wschodami, które z kredensu prowadziły do garderoby. Pan Zapolski rad nie rad musiał wszędzie zaglądać i wszystko chwalić, chociaż jedno z drugiego się śmiało. Na każdym kroku widać było pretensje wielko-pańskie, kłócące się z oszczędnością człowieka skąpego i z brakiem wszelkiego smaku. Z tego też powodu na ścianach wisiały same druki olejne, ale w szerokich złotych ramach; firanki w salonie były za krótkie; pod zwierciadłami stały stoliki do kart; sufity były malowane farbami bez połysku, druty telegraficzne, wszystkie bowiem pokoje gospodarz telegrafem połączył, nie były ukryte, lecz po murach puszczone; meble zbierane po najtańszych magazynach, były najrozmaitszych fasonów; nareszcie służba uwijająca się po salonach, tak wyglądała w surdutach liberyjnych, jak gdy się konie chłopskie ubierze w porządną uprząż dworską. W dodatku żaden z nich nie był ani dobrze umyty, ani dobrze uczesany, i każdy chodził ciężko, jak by na nogach miał kajdany żelazne.

Gdy panowie zbliżyli się do tych salonów, w których goście się bawili, pan Zapolski zobaczył ku wielkiemu swemu zdziwieniu żyda brodatego, który przy drzwiach siedział.

— A on tu co robi? — zapytał mimowoli.

— Ha! ha! ha! — roześmiał się gospodarz — wiedziałem, że sąsiad nie zgadnie! He, bo też to i koncept nie z kalendarza! Jak mego pana Boga kocham nikomu by to na myśl nie przyszło. Bojąc się, żeby służba nie wynosiła wina i innych rzeczy z bufetu, który będzie na pierwszem piętrze, posadziłem oto tu mego wiernika z gorzelni, Lejbę, a na drugim końcu domu siedzi i pilnuje Abramko, mój pachciarz. Zjedzą djabła te gałgany, czy mi co ukradną!

— Zaiste — odrzekł pan Zapolski — pomysł niezwykły!

— Trudna rada, bieda rozumu nauczy... tak mnie kradną, że musiałem wpaść na ten koncept. Ale — dodał biorąc się za boki i patrząc na gościa — powiedz mi też sąsiad prawdę szczerą, czy brakuje co mojemu pałacowi?

— Przeciwnie, ja bym chyba powiedział, że jest tu może za wiele.

— Akurat i ja tak mówię... naprzykład ornamentyki jest za wiele... a moja żona mówi, że tu nic nie ma, i zamiast mi podziękować, nazwała mnie głową kapuścianą. I jest że sprawiedliwość na świecie? A co on mnie kosztował ten pałac, aż boję się powiedzieć.

— Ciekawym ile?

— Trzy stajnie wołów, każda po sto dwadzieścia sztuk, wlazły w te mury i graty, i ani ich widać. A jakie woły — dodał z westchnieniem — tuczne, okrągłe, śliczniutkie, jak anioły!

Dalszą rozmowę przerwały wołania kilku młodych ludzi, którzy biegnąc na wyścigi, szukali gospodarza i pana Zapolskiego. Ponieważ zabawa miała się koncertem rozpocząć, więc pani domu posłała po nich, by przypadkiem nie uronili jakiego tonu z boskiej muzyki. (C. d. n.)

MAŁŻEŃSTWO PIĘCIODNIOWE.

Urywek z dziennika.

Z FRANCUZKIEGO PRZEZ H. W.

List Henryka de Puineuf do Karola Arvon.

„Odebrałem twój list kochany Karolu, w którym piszesz, że zrywasz z ideałami, dotąd przez ciebie czczonymi, że chcesz zacząć życie trzeźwe, praktyczne, bo tylko w niem spokój i używanie znaleźć można, że twego nawrócenia dokonał wuj, trochę materjalista, w gruncie jednak najpoczciwszy człowiek w świecie, że wreszcie, by dokończyć rozpoczętą przez niego praktyczną twoją edukację, chce cię ożenić z młodą osobą, której nie znasz zupełnie, to cię jednak nie odstrasza, bo panna bogata, gospodyni zawołana, a ty „w sentymenta niepotrzebne wdawać się nie potrzebujesz.“

„Długo się namyślałem czy ci mam odpowiedzieć. Wśród moich gór, samotny, patrzę na blask gwiazd i księżyca, przez moje lasy świerkowe, słucham szumu kaskad spadających wśród krzaków jałowcu, i dobrze mi z tą naturą dziką i poważną, stokroć lepiej i spokojniej, niżeli mi było wśród ludzi, o których, że w ogóle istnieją, radbym zapomnieć całkowicie! Uważam się za rozbitka, który niesiony na falach morza rozhukanego i wyrzucony na wyspę odludną nie pyta więcej, co się dalej dzieje na tem morzu burzliwem, nie dba o to czy ma licznych towarzyszów niedoli.“

„Żal mi się jednak ciebie zrobiło mój drogi Karolu. Przez trzy miesiące byłeś wiernym towarzyszem mojej samotności, pokochałem cię jak syna, dla ciebie zacząłem się znowu zajmować światem i społeczeństwem. Pamiętam dotąd ten dzień, kiedym cię ujrzał po raz pierwszy wśród moich gór, skąpanego w blaskach słońca zachodzącego, z włosem rozwianym, z czołem promienistem, z okiem pałającem. Tak mię twa postać uderzyła, że mimowoli oderwałem wzrok od nieba, by spojrzeć na ziemię, która tak dzielne orły pielęgnuje i uczy wzlatać tak wysoko.

Byłeś wtedy cały pod wrażeniem rewolucji tylko co przebytej, przesiąkły dymem z prochu i pożarów, jak drugi Homer, opiewałeś przedemną cuda waleczności, przez lud nasz dokazywane. Jak jam ciebie słuchał mój młody bohaterze! jak jam ci błogosławił za ten swięty ogień, którym piersi twoje gorzały, za ten zapał słów twoich, które potrafiły jeszcze i w mojem sercu starem, zamarłem wywołać iskrę uczucia, przyprawić je o żywsze bicie.

O dziecię moje! jakże byłeś pięknym, jak wspaniałym, z tą twoją młodocianą eksaltacją, z tą ufnością w wielką przyszłość Francji! Przybyłeś w góry, by odpocząć po trudach przebytych, by z Bogiem porozmawiać. Gdyś z gór zstąpił, zastałeś już ów lud bohaterski, który niedawno klęczał przed świętemi tablicami, na których wypisane były głoskami ognistemi prawa narodów — zastałeś go niestety bijącego czołem przed Cielcem złotym."

„Wtedy uczułeś ból wielki, rozczarowanie i zwątpienie zastąpiło zapał w twojem sercu. Wstyd ci było wstać wyłącznie prawie wśród tego motłochu bezdusznego, wielkim i czystym. Zepchnięty gwałtownie z wyżyn nieba, w kał ziemski, rzuciłeś niebu wzrok pogardliwy, zerwałeś z czoła aureolę, która je opromieniała i powiedziałeś sobie pełen rozpaczy „włóżmy tak jak i inni czapkę błazeńską na głowę, a wygodniej nam z nią będzie, niżeli z tem godłem boskości, którą podłość ludzka na koronę ciernistą przemieniła.

„Strzeż się Karolu! Tyś się wzbił zanadto wysoko, by wracać nazad na ziemię i grzebać w jej śmiecisku. Czy tobie wystarczy życie powszednie i jego zwierzęce używanie, tobie młody orle, który na skrzydłach fantazji po nad chmury bujałeś, któryś odczuwał co piękne, wzniosłe i szlachetne? Karolu mój drogi, nie depcz własnemi nogami to, coś niegdyś tak gorąco i tak słusznie ukochał!"

„Widzisz mój Karolu, byłem niegdyś takim jak ty zapaleńcem. Pozwoliłem ściągnąć się z tych wyżyn, po których duch mój bujał, dałem sobie wyperswadować, że do życia codziennego, dość by stosowne były stosunki majątkowe i społeczne, dwojga ludzi, którzy mają przeżyć z sobą wiek cały, że serce tu wcale nie potrzebne, bo tyle, ile potrzeba miłości, w spokojnem, przyzwoitem małżeństwie, znajdzie się zawsze po ślubie. Wziąłem także ślub z osobą zupełnie mi nieznaną, nie kochaną, wierząc na słowo, że tak będzie najlepiej!

„Jakże strasznie los się zemścił za to świętokradztwo nademną! Jej serce pękło, oderwane gwałtownie od tego którego całą siłą młodej swej duszy ukochała, a moje zastygło na wieki, w tej walce długoletniej, by odnaleźć skarb, któremu zaprzeczałem istnienia, by zyskać jej miłość, bez której myślałem, że się obejść potrafię. Starzec zgrzybiały przed czasem, wlokę mój żywot nieszczęsny, z sercem zamarłem, bez celu, bez nadziei... Oto co ze mnie zrobiło, podeptanie moich ideałów, wyrzeczenie się snów młodości, zapatrywanie na życie, za nadto praktyczne. Trzeba mi było bardzo długiego czasu, żeby zdecydować się na odgrzebywanie z popiołów wspomnień strasznych, bolesnych, piekących! Gdy będziesz czytał te kartki, krwią moją serdeczną pisane, będziesz miał miarę, jak cię gorąco ukochałem, gdy dla twego dobra, nie wzdrygnąłem się nawet taką uczynić ofiarę!

„Znajdziesz w niejednem miejscu braki i niedokładności, w drugiem, opisy zanadto może długie, zanadto szczegółowe."

„Widzisz dziecię drogie, w spowiedzi najszczerszej są przecież szczegóły, których język nasz nie wypowie, pióro ich się nie dotknie; są znowu inne, przy których oczy łzami, serce krwią nacieka, a jednak oderwać się od nich nie możemy.

„Były chwile, żem upadał pod ciężarem tych wspomnień... po trzy dni czekałem, nim znowu nabrałem dość siły, by kończyć smętną, i bolesną historją mego życia."

„Oby ofiara moja nie była nadaremną! Oby te kartki nie przyszły za późno! Gdyby cię miały zastać zgubionego bez ratunku, gdybyś tymczasem zaślubił już twoją nieznaną niekochaną i nawzajem niemogącą ciebie kochać narzeczonę, wtedy powiem sobie: „I ten dla mnie umarł, i ta ostatnia gwiazda, na którą patrzałem z dumą i radością, zagasła na moim horyzoncie, nie zostaje mi nic więcej, jak zamknąć oczy na wieki."

Twój Henryk de Puineuf.

I.

Zmrok zapadał, gdy zmuszony porzucić gościniec murowany, skręcałem w lewo na boczną drożynę, pełną błota i wybojów, aby dostać się do mego zamku w Savenière. Było to pod koniec listopada. Jak zwykle o tej porze, czas był szkaradny, jesień głucha, deszczyk drobny prusząc od rana, przejmował wilgocią i zimnem do szpiku kości, cały widnokrąg był zasuty chmurami szaremi, ołowianemi. Drzewa z liści odarte wyciągały mokre, obwisłe konary jak kośoiotrupy, liść spadły szeleściał pod nogami. Od czasu do czasu silniejszy podmuch wiatru, zajęknął w powietrzu, jakby tysiące dusz potępionych ozwały się razem głosem przeciągłym, pełnym bolu i żałości.

Starałem się zorientować i rozpoznawałem okolicę o ile mi na to pozwalały mgła coraz gęstsza i wieczór coraz ciemniejszy. Jechałem do mojej ojcowizny, a jednak byłem tu prawie obcym. Wychowany od lat dziecięcych w szkole wojskowej, rzadko tu bywałem. Gdym opuszczał te strony, przed laty pięciu, przypominałem sobie aleję topolową, która od gościńca aż do parku prowadziła. Wyrąbano ją ze szczętem. Gdzie niegdzie jeszcze sterczał smutnie pniak suchy, ogromem swoim świadczący, jak pyszne drzewa niegdyś tu gościły. Stosy gałęzi niezabranych dotąd, dowodziły, że nie tak dawno odłączono je od pnia macierzystego. Na końcu alei był niegdyś biały, schludny domek ogrodnika. Zgliszcza tylko niedopalone, uderzyły obecnie moje oko. Pagórek tuż nad drogą, zwykle okryty przepysznym winogradem, teraz z niego ogołocony, świecił jedynie suchemi łodygami. Spłukany wodą deszczową, naniesiony miejscami mułem i piaskiem, przedstawiał także widok cmentarny. Gdziem okiem powiódł, zgliszcza, ruiny, spustoszenie.

Czas brzydki, jesienny, okolica taka jakaś opustoszała, wszystko fatalnie mnie usposabiało. Zapadałem w smutek coraz głębszy, w zamyślenie coraz przykrzejsze. Takie czułem w nerwach rozstrojenie, że wypuściłem z rąk uzdeczkę na szyję konia, z czego też mój rumak skorzystał zmęczony chodem całodziennym. Nie czując ani bicza, a tem mniej ostrogi, zaczął iść wolniuteńko, noga z nogi. Muszę przyznać, że byłem rad temu. Im bliżej widziałem się celu podróży, tem mniej mi było pilno.

Czyż mogłem przewidzieć co mnie czeka w Savenière? Położenie moje było dość niezwykłem, by wzbudzać pewne obawy. Wychowany, jak już wspominałem, w szkole wojskowej, później wiecznie przy pułku w Algierze, zaledwie co lat kilka odwidzałem nader przelotnie Francję i moją rodzinę. Przed laty pięciu mój ojciec, który żył jeszcze wtedy, napisał mi żebym przyjeżdżał, że dawny jego towarzysz broni — ojciec mój był także dawnym wojskowym — pragnie połączyć ze mną swoją jedynaczkę. Załączył mi przytem panny miniaturę. Byłem bardzo młody... serce moje było wolne, gdyż miłostki obozowe nie wchodziły w rachubę, zostawiało je się za sobą wraz z resztą bagażów niepotrzebnych, gdy się kwaterę zmieniało. — Panna była piękną, nazwisko świetne, majątek odpowiedni. wiedziałem zresztą, że to małżeństwo, ojca mego uszczęśliwi. Przystałem z nieopatrznością chłopca młodego, roztrzepanego, a przytem nieznającego życia inaczej, tylko wśród gwaru obozowego, wśród niebezpieczeństw bitwy. Przez wzgląd na moje wielkie oddalenie, na niemożność w czasie wojennym dostania dłuższego urlopu, uwolniono mię od wszelkiego starania się o pannę, zaręczono nas nawet przez prokurację... i dopiero na dwa dni przed ślubem, ujrzałem po raz pierwszy moją Ernestynę. Portret nie kłamał. Przeciwnie! była ona o wiele piękniejszą, niżeli się spodziewałem. Po ślubie w pięć dni, rozkaz zwłoki niecierpiący, powołał mnie nazad do pułku, obydwaj ojcowie byli tego zdania, żebym szedł dalej karjerą wojskową, póki przynajmniej rotmistrzem nie zostanę, a i mnie żal było. porzucać tak młodo pułk mój, do którego byłem całą duszą przywiązany.

Czy te pięć dni ze mną spędzone, a właściwie mówiąc poświęcone zabawom, któremi nas otaczano, chwili wytchnienia nam nie zostawiając, czy te pięć dni zostawiły w umyśle Ernestyny jaką pamięć o mnie? Czy jej serce ma dla mnie jakiekolwiek uczucie? Czy też po latach pięciu rozłączenia przyjmie mnie jak zupełnie obcego, a nie jak męża? jakie ma być moje z nią zachowanie? Nie znamy się dotąd zupełnie. Nie wiemy wcale, czy zgodzą się nasze charaktery, nasze usposobienia. Jakie też wrażenie zrobi na niej mój powrót? Czy sobie tego życzyła? Czy jej się podobam? Czy potrafi się do mnie przywiązać? Oto pytania, które zwykli sobie zadawać narzeczeni, a które dręczyły mój umysł, mimo że byłem od pięciu lat mężem tej kobiety, i ojcem synka kilkoletniego.

Męczyło mię położenie niezwykłe a śmieszne, odarte przytem z wszelkiej poezji. Cóż prozaiczniejszego jak powracający mąż, który przez długich pięć lat wojował gdzieś za domem? Nie czeka go się z ciekawością gorączkową, jak kogoś nieznanego, ani też z niecierpliwością serca, jak tego, do którego się przywykło i przywiązało. Myśli moje były coraz smutniejsze, obawy coraz większe. Nie pytałem wcale, czy mię kocha? Tylko czy mię kochać potrafi? Czy będzie jaka nić sympatyczna między nami? Czy zostanę kiedy wybranym jej serca? A jeżeliby to serce kochało innego?

Na tę wątpliwość zdrętwiałem cały. Ruchem gwałtownym złapałem na nowo za uzdeczkę i konia w miejscu osadziłem.

Czy nie kocha innego? A któż mi zaręczy że tak nie jest? Poślubiła mnie nie znając wcale... może uległa tylko woli ojca despotycznego... może już przed ślubem kochała? Wiedziałem z doświadczenia, że małżeństwo, przy którem nie stoi na straży miłość wspólna, jest właśnie nader niebezpiecznym stanem dla młodej kobiety. Dziewicę w braku zasad, strzeże niewinność, czystość myśli, nieskazitelność ciała, brak wiedzy, czem jest życie właściwie. Mężatka, choćby tylko pięciodniowa, wszystko to już straciła. Zakosztowała owoce wiedzy, zmysły jej obudzone, usta dotknęły się czary życia, w której kobieta częstokroć na dnie truciznę znajduje.

Raz stanąwszy na tej pochyłości, wyobraźnia moja brnęła dalej, tworząc obrazy coraz straszniejsze. Przypuszczałem następstwa najsmutniejsze małżeństwa tak lekkomyślnie zawartego, a następnie tak szybko i na tak długo zerwanego przez moją winę. Coraz więcej zaczynałem się lękać tego związku, coraz więcej upatrywałem w nim stron ujemnych. Dzięki ciemności zupełnej, z nerwami okropnie rozstrojonemi i wyobraźnią podsyconą, brałem prawie za rzeczywistość obrazy i wątpliwości w głowie mojej jedynie wylęgłe, byłem jak autor, który snując i tworząc rozmaite typy i osoby, ułożywszy ich historją i wypadki ich życia, wyobraża sobie w końcu, że on je widział, z niemi obcował, był niemal świadkiem tych wypadków.

Niewiem jak długo byłbym stał w miejscu, pogrążony w myślach rozpaczliwych, gdyby mnie nie był wrócił, a raczej obudził do życia rzeczywistego, gwar jakiś i odgłos kroków ludzkich. Ujrzałem wkrótce dwoch wieśniaków z pochodniami, którzy spytawszy mnię o nazwisko, oświadczyli, że są wysłani przez „panią“, by mnie odszukać i ostrzedz przed głębokim przekopem, zrobionym tuż pod parkiem dla sprowadzenia wody, a na którym nie zdążyli mostku postawić. Jeden z nich niósł płaszcz na ręku, mówiąc, że „pani“ bała się czy mnie nie będzie za zimno w nocy, na taką słotę i dla tego płaszcz ten przysyła. Drugi mi opowiedział, że pani była bardzo niespokojną, dla czego tak długo nie przybywam i wysłała na koniu służącego do Angers, aby się dowiedział, czy tamtędy przejeżdżałem.

Te środki przedsięwzięte dla mego bezpieczeństwa, ten niepokój, ta pamięć tak troskliwa, że prawie na czułość zakrawała, były w sprzeczności tak rażącej z mojemi przypuszczeniami i obrazami, które tworzyła bujna wyobraźnia, że wszystkie pierzchły od razu, jak znika ciężka zmora, gdy się ze snu zbudzimy. Wstyd mi było moich myśli, posądzeń tak dla Ernestyny dotkliwych. W kwadrans później, byłem tak pewny że Ernestyna gotowa

mnie pokochać, a może nawet już kocha... jak przed chwilą wmawiałem w siebie zupełnie co innego.

Mógłby ktoś zarzucić, że ta zmienność usposobienia nie zgadza się z męzkim hartem i rozumem. Muszę przyznać, że mimo zahartowania w życiu obozowem, mimo odwagi, którą częstokroć koledzy szaleństwem nazywali, mimo stałości niezłomnej, gdy raz sobie coś postanowiłem, byłem nadzwyczaj nerwowym. Wpływ zewnętrzny, bądź otoczenia, bądź nawet zmian powietrza, oddziaływał na mnie niesłychanie. Dowodziło to jednak pełności życia wewnętrznego. Ludzie, których nic już w świecie nie poruszy, nic nie wyprowadzi z równowagi, podobni są do barometru pękniętego. On także stoi w miejscu, ani się podnosi, ani opada, jak łono skamieniałe owych istot moralnie zaumarłych.

Gdyśmy dochodzili do sztachet park okalających, moi przewodnicy wyprzedzili mnie, by bramę otworzyć. Było to dość ciężkiem zadaniem, gdyż ziemia rozmokła sunęła się wraz z bramą, utrudniając tejże otworzenie.

W tej chwili usłyszałem głuchy tentent konia kłusującego i wkrótce wypadł z lasu, który łączył się z naszym parkiem, jeździec. Gdy mnie spostrzegł, osadził konia w miejscu i wpatrzył się we mnie przenikliwie. Ja byłem cały obiany blaskiem jaskrawym pochodni, on ginął w pomroku wieczornym, tak że ledwie dojrzeć mogłem cokolwiek jego rysów. Wydał mi się bladym jak widmo, był cały owinięty płaszczem à la Fra Diavolo, z podszewką czerwoną, które wtedy powszechnie używano. Gdym na niego spojrzał, zawrócił konia równie szybko, jak go wprzód zatrzymał i znikł w lasu ciemnościach. Ludzie zajęci bramy otwieraniem nie widzieli go wcale i nic mi o nim powiedzieć nie umieli.

Wreszcie bramę otworzono. Weszliśmy w głąb parku. Na ganku, pod werandą, stały dwie kobiety, za nimi służący trzymał kandelabry ze świecami z wosku różowego. Silnie wiatrem poruszane świece, słabo ganek oświetlały i osoby na nim się znajdujące. Zeskoczyłem z konia i wbiegłem na ganek. Czy też w skutek tak żywego wzruszenia, czy niepewnego oświetlenia, dość że się zatrzymałem, nie mogąc na razie rozpoznać, która z dwóch jest moją żoną. Spostrzegłszy zapewne moje wahanie, gdyż jedna uśmiechnęła się złośliwie, druga zaś była bardzo bladą, a oczy jej świeciły blaskiem wilgotnym, jakby przez łzy patrzały. Bez dłuższego namysłu przycisnąłem tę drugą do serca i w czoło pocałowałem. Uczułem jak drzy cała.

— Tak późno przybywasz — szepnęła głosem zaledwie dosłyszanym.

Wytłómaczyłem kilku słowami powód mego opóźnienia. Tak rozmawiając weszliśmy do salonu, który widocznie na moje przybycie świątecznie przybrano. Chłopczyk czteroletni stał obok kominka.

— Arturku! — zawołałem.

Dziecko ku nam się zwróciło. Najprzód atoli zamieniło z matką spojrzenie pytające, dopiero gdy ona głową potakująco skinęła, posunęło się zwolna w moją stronę. Porwałem je na ręce, okrywając pocałunkami. Zajęty wyłącznie myślą jak mnie żona powita, zapomniałem prawie że mam syna. Widząc nagle dziecko już dość wyrosłe, gdym uczuł na szyi jego ciepłe rączęta, gdym usłyszał słodki głosik — „mój tatku" — jakby iskra elektryczna mnie na wskróś przeniknęła, tak mi coś w sercu zakołatało. Owładło mną uczucie dziwnie rzewne, a jednocześnie ból, żem tyle lat stracił, syna mego nie oglądając i dwie grube łzy stoczyły się na główkę dziecka. Zrozumiałem od razu, co to znaczy być ojcem!

Jednem ramieniem dziecko obejmując, zbliżyłem się do Ernestyny, która w milczeniu na nas patrzyła. Chciałem połączyć w jednym uścisku matkę i syna na mojem sercu, wyciągnąłem do niej rękę. Ona porwała mię za rękę i gorąco ucałowała. Ten czyn tak pełen pokory i czułości zarazem, poruszył mnie do głębi. Przyciągnąłem żonę do siebie, dzieląc pocałunki między nią a synem. Załkała głośno, tuląc się do mojej piersi.

Z drzwi bocznych wyszła owa pani, na ganku spotkana, która była gdzieś znikła, gdyśmy szli do salonu, a biorąc za rękę Ernestynę, coś jej do ucha szepnęła. Podniosła głowę a ocierając łzy rzekła:

— To Hermina de Moëlan.

Skłoniłem się nisko. Hermina mi lekko głową skinęła. Wiedziałem, że to jest blizka krewna Ernestyny i jej najserdeczniejsza od lat dziecięcych przyjaciółka. Przypomniałem sobie, że była także już mężatką wtedy na naszym ślubie.

Zaproszono nas do kolacji. Ernestyna naprzeciw mnie siedziała. Dotąd tyle wrażeń rozmaitych doświadczyłem, że nie miałem czasu jej się przypatrzeć. Przez tych pięć lat zmieniła się uderzająco. Nigdy może nie była tak piękną, wydała mi się jednak tak eteryczną, taką od ziemi oderwaną, że aż mnie to przeraziło. Zrobiła się podobną zupełnie do mglistych aniołów Flaxman'a, kibić jej była zawsze prześliczną, gibką, wyciętą w pasie, pełną wytwornej elegancji, teraz jednakże stała się tak wiotką jak lilji łodyga. Zdawało się, że lada podmuch wiatru cokolwiek silniejszego musi ją złamać. Oczy były jak dawniej promieniste, blask ich atoli nie był także z tego świata. Wiecznie w łzie pływające, takie były jakieś tęskne, w dal zapatrzone, jakby tu na ziemi nie miały już co oglądać. Płeć jej niegdyś świeża jak krew z mlekiem, zmieniła się również niedopoznania. Twarz jej nie była chudą, ani żółtą, powlekła ją tylko bladość przeźroczysta, przez którą przebijał się czasem rumieniec słabiutki, niby odblask ognia wewnętrznego. Nie można było powiedzieć, że to kwiat zwiędły, bo pociągał ku sobie blaskiem cudownej urody, wszystko składało się na całość harmonijną. Nic nie zapowiadało rychłej śmierci, a serce jednak ściskało się na jej widok, bo i życia trudno tam było dopatrzeć. Czuło się, że to kwiat gwałtownie podcięty, piękny jeszcze, ale pozbawiony soków żywotnych, które z ziemi dostawał i które go z ziemią wiązały.

Wejście mego syna, niesionego przez piastunkę, już w nocnej koszulce, aby nam jeszcze oddał dobranoc, przerwało bolesną zadumę z jaką przypatrywałem się Ernestynie. Ten epizod z życia rodzinnego, codzień się powtarzający, który dla innego ojca byłby czemś nader pospolitem, dla mnie był nowością zachwycającą. Prosto z obozu być

przeniesionym w kółko familijne, nie przygotowując się do tego powoli, znaleźć się od razu mężem i ojcem, jest to rozkosz upajająca. Chwyciłem znowu na ręce, ślicznego, pulchnego dzieciaka i namiętnie go całowałem, on atoli dość kwaśno przyjmował moje pieszczoty, i rwał się gwałtem do matki. Podałem go Ernestynie. Śmiejąc się radośnie zarzucił jej rączki na szyję i wpił się ustami w jej usta. Widząc to dziecko, takie różowe, takie pełne życia, wiszące u ust matki, tak wiotkiej, bladej, jakby pozbawionej warunków wszelkich bytu ziemskiego, wydało mi się, że to pszczółka w kielichu kwiatu, która ssie z niego bez miłosierdzia nie tylko miód, ale i życie jednocześnie.

Gdy Artura wyniesiono, zbliżyliśmy się do kominka płonącego i wesoło iskrami pryskającego. Rozpoczęła się miła pogadanka. Hermina wydała mi się dowcipną i wielce rozmowną, daremnie jednak starałem się rozruszać Ernestynę; pozostała niema i roztargniona. Słowa z niej wydobyć nie można było. Jej uporczywe milczenie, mięszało mnie niesłychanie. Nie pochodziło ono, ani ze wzruszenia, ani ze zbytniej uwagi. Nie dla tego milczała, by nas słuchać, lub na mnie patrzeć, jej oczy były tak samo spuszczone jak usta zamknięte. Czyż jej tak mało zależało poznać mnie bliżej? Starałem się pokonać smutne wrażenia, które znowu zaczynały mnie całego ogarniać i siliłem się okazać swobodnym, wesołym. Pani de Moëlan mnóstwem pytań mnie zarzucała. Musiałem jej opisywać nasze życie obozowe, potyczki z Arabami, Wschód, zwyczaje tamtejsze, wreszcie moją podróż do Savenière, myśli dręczące, w miarę jak się do domu własnego zbliżałem, obawy, czy zostawiłem tu jakiekolwiek po sobie wspomnienia, czy nie przyjmie mnię żona jak kogoś zupełnie obcego. Opowiadania moje zdawały się bardzo zajmować i bawić panią de Moëlan, Ernestyna atoli została dalej pogrążoną w swojej bezwładności, w swojej zadumie głębokiej. Ani jednem słowem nie wmięszała się do naszej rozmowy.

— Prawdziwie! — zaśmiała się gdym skończył Hermina — położenie pańskie było co najmniej niezwykłe. Ernestyna mogła łatwo niepoznać pana. Jakby to było oryginalnem, gdyby mąż musiał w obec żony udowadniać dopiero tożsamość swojej osoby?

— Byłbym się wykazał paszportem — odpowiedziałem równie wesoło.

— A któżby nam zaręczył — odrzuciła Hermina figlarnie — że to właśnie paszport pana, a nie do kogo innego należący. Rysopisy paszportowe, tak są wszystkie do siebie podobne. Zresztą mógł pana kto zrabować, zabić nawet w drodze, i zabrawszy wszystkie papiery, stawić się w Savenière jako Henryk de Puineuf.

— Nie przyszło mi to na myśl wcale. Szkoda! Taka nerwów ekscytacja, byłaby mi skróciła nudy długiej, samotnej podróży.

— Mogło to tem łatwiej się wydarzyć, że okolica leśna w sąsiedztwie Savenière, nie jest bardzo pewną. Czyś pan nie spotkał nikogo?

— A! w samej rzeczy. Przypomniałaś mi pani. Przy bramie parku spotkał mnie jakiś jeździec tajemniczy. Wyjeżdżał tak jakby z parku, i znowu konia zawrócił, by zniknąć w lesie.

— Jeździec w obrębie parku o tej godzinie? To dziwne! — rzekła pani de Moëlan.

— Jeździec owinięty płaszczem bandyckim, z czerwoną podszewką, na białym koniu. Oto wszystko, co mogłem dojrzeć, wśród cieniów nocy.

Obie kobiety umilkły. Po chwili pani de Moëlan zerwała się szybko, a podbiegając ku Ernestynie:

— Ty cierpisz! — zawołała — te wszystkie wrażenia niezwykłe, wyczerpały twoje siły. Chodź połóż się i odpocznij.

Obróciłem się żywo. Ernestyna zdawała się istotnie blizką omdlenia.

Przyłączyłem moje prośby, do czułej i troskliwej namowy Herminy:

— Biedaczka — tłumaczyła ją Hermina — taka nerwowa, a tak często na migreny straszliwe zapada. Wtedy jedynie spokój zupełny, ratuje ją cokolwiek.

Ernestyna wraz z Herminą odeszły, służący wszedł po chwili, zapewne przez nich przysłany, by mi poświecić i wskazać pokój dla mnie przeznaczony.

Cały ten wieczór przeszedł tak dziwnie, że byłem zadowolony, gdy się sam znalazłem. Mogłem nareszcie zdać sobie sprawę z wrażeń najrozmaitszych, które mnie na progu domu przywitały. Dotąd nie wiedziałem na pewno czy mam być smutnym, czy wesołym, zadowolonym lub też zawiedzionym. Widok mego syna, i dowody troskliwości ze strony Ernestyny, rozczuliły mię niewymownie. Wkrótce jednak uderzył mię pewien przymus, który moja osoba zdawała się na wszystkich wywierać. Czułem instynktowo, że robią mi miejsce w tem kółku rodzinnem, bo muszą; nie zawsze atoli myśleli o tem, by to miejsce dla mnie zatrzymać. Nic nie można było na pozór zarzucić przyjęciu, które mnie na progu domu spotkało.... chyba to jedno, że było w niem za wiele atencji, a za mało ciepła serdecznego. Nie witano mię jak pana domu, jak męża i ojca, ale jak kogoś zupełnie obcego, dla którego atoli starano się sadzić na grzeczności.

Wspominałem już o moich nerwach i wrażliwości pod względem moralnym. Znowu zaczęły mnie nagabywać wątpliwości rozmaite, a gdy raz rozbujała się moja żywa wyobraźnia, nie znała granic, ni miary. Moją nawet radość z samego początku rozpamiętywałem, szukając i w niej stron ujemnych. Coraz więcej lękałem się zbytnich atencji pani de Puineuf. Widocznie chciała niemi zamaskować brak uczucia. Nie umiejąc, czy nie chcąc przyjąć mnie czule, przyjęła przynajmniej z grzecznością wyszukaną. Więc znalazłem w niej jedynie kobietę zasad surowych i wypełniającą ściśle obowiązki, a ja tak pragnąłem żony z sercem gorącem, odpowiadającą miłością na miłość, którą chciałem szczerze jej ofiarować.

Czyż byłem skazany, na jeden z tych związków światowych, które mię zawsze strachem napełniały? Czyż pozornie, dla ludzi, będziemy nibyto najszczęśliwsi, związani wieńcami z kwiatów, by w samotności odczuwać dopiero cały ciężar tego łańcucha przykuwającego nas do

siebie, jak dwoje galerników? W co się obrócą moje marzenia, o cichem pożyciu domowem?

Nie mógłbym nikomu wytłomaczyć, na jakich faktach opierałem moje obawy, bo dotąd żadnych nie było, a jednak wiedziałem, że są sprawiedliwe, wiedziałem, że mój spokój, moje szczęście domowe, są narażone na wielkie niebezpieczeństwo. Wyobrażałem sobie, że ten wieczór inaczej się dla mnie zakończy. Gniewało mnię nagłe zasłabnięcie mojej żony. Rozum mówił mi, że ona przecież temu nie winna, że nikt nie może odpowiadać za to, jeżeli słabość fizyczna jest silniejszą niż jego wola. Namiętność atoli, jest zwykle sędzią niespawiedliwym. W obec niej Ernestyna była winną. Po co sprowadziła między nas tego świadka nieproszonego, tę kuzynkę? Czyż nie mogła mnię sama powitać? Czyż nie czuła potrzeby spędzić ze mną sam na sam tego pierwszego wieczoru, po tylu latach rozłączenia?

Nie chciałem jednak położyć się, póki nie zobaczę Ernestyny, nie dowiem się, czy czuje się lepiej. Nie wiedziałem wcale gdzie jej pokój sypialny, a bałem się smieszności, gdy o to spytam lokaja. Są natury śmiałe, dla których nie istnieją tak drobne odcienia. Mnie ani wychowanie wojskowe, ani życie wojskowe, nie oduczyło pewnej nieśmiałości i delikatności niesłychanej w stosunku z kobietami. Łatwiej mi było iść na armaty, brać szturmem fortecę, niż wyrządzić najmniejszą przykrość kobiecie, niż być niedelikatnym choćby dla własnej żony. Przemierzywszy pokój w szerz i wzdłuż, ze dwadzieścia razy, zdobyłem się wreszcie na wybieg dyplomatyczny. Zadzwoniłem, a gdy wszedł służący:

— Idź, dowiedz się czy p a n i jeszcze nie spi i czy może mnie przyjąć? — rzekłem mu dobitnie.

Śmiesznie było mnie samemu, że musiałem jak jaki książe krwi, żonie się kazać zapowiadać, ale nic lepszego wymyślić nie mogłem. Po chwili wrócił posłaniec z wiadomością „że pani mnie czeka“. — Dałem mu w rękę kandelabr i poszedłem za nim. Zastałem Ernestynę w łóżku, u jej nóg siedziała Hermina, w kącie przygotowano na prędce szesiąg dla niej, z całą pościelą. Chciała widocznie spać w jednym pokoju z Ernestyną, by czuwać nad nią w nocy. Znowu się uczułem tem dotknięty i podrażniony. Jakiem prawem, ta kobieta wciska się między nas? Dla czego śmie zabierać moje miejsce, i to nawet nie spytawszy się mnie, czy na to pozwolę? Ernestyna wyciągnęła do mnie rękę, dziękując za odwiedziny.

— Czyś się mnie już nie spodziewała? — spytałem.

— Myślałam, żeś nadto znużony — szepnęła pomięszana.

Rozmowa stała się zupełnie obojętną. Ernestyna zapadła znowu w swoją milczącą zadumę i oczy przymykała. Moje położenie było nie do zniesienia! Chociaż jednem słowem, jednym ruchem nikt się nie zdradził, czułem, że jestem tu niepotrzebnym intruzem, że przyjmują wprawdzie moje odwiedziny jak najlepiej, a wyglądają niecierpliwie chwili, kiedy je zakończę. Wstałem wreszcie, Ernestyna znowu mi rękę podała mówiąc cichem głosem „Dobranoc“ i wróciłem do mego pokoju, smutniejszym niż z niego wyszedłem. Gdym się o jedne drzwi pomylił:

— Jakto, pan nie poznaje tego pokoju? — zagadał stary sługa mego ojca — przecież to pokój państwa poślubny.

Nie spostrzegłem tego dotąd. I dlaczegoż go miałem poznać? Pokój poślubny, bez żadnej przeszłości. Nie było w nim nic z tego, co nas do takich miejsc przykuwa, nie wiązały mnię z nim wspomnienia serca. Obszedłem go naokoło. Był wytworny, widocznie świeżo dla mnie urządzony. Nic w nim nie brakowało, prócz... towarzystwa żony kochającej, prócz kołyski dziecka... Wtedy byłby mi się wydał piękny, szczęściem opromieniony! Niestety, zaczynałem się obawiać, żeby ten pokój zimny, samotny, nie był symbolem całej mojej przyszłości!...

Słabość Ernestyny była przemijającą, Hermina w kilka dni odjechała, zostaliśmy sami nareszcie. Czekałem niecierpliwie tej chwili. Spodziewałem się, że przymus dotychczasowy zniknie, że zastąpi go ze strony Ernestyny coraz większa ufność, swoboda w stosunku ze mną, że uwierzy w moje najlepsze dla niej chęci, że odpłaci mi uczuciem za uczucie. Łudziłem się niestety. Ernestyna została taką, jaką była pierwszego wieczoru. Cicha, łagodna, zamyślona, jakby już do tej ziemi nie należała. Stosunki nasze były przyjazne, ale dalekie bardzo od serdecznego porozumienia. Chciałem koniecznie przybrać w Savenière charakter i swododę pana domu, nie mogłem! Wyglądałem zawsze na gościa przejeżdżającego. Wprawdzie ze wszystkiem do mnie się udawano, ale z miną ludzi, którzy naprzód wiedzą, że to nadaremnie, że ja o niczem nie wiem. Istotnie! mimo chęci gorącej zajęcia się szczegółowo interesami, byłem zawsze nieszczęśliwym przybyszem, spadłym z nieba, i zmuszonym co chwila odwoływać się do Ernestyny. Kilka razy próbowałem wtajemniczyć się w rządy domu, wypytywałem o wszystko moją żonę. Odpowiadała wprawdzie, ale tak zawsze krótko, tak niewyczerpująco, że nie mogłem połapać tych tysiącznych nici niewidzialnych, które trzeba mieć w ręku, żeby prowadzić skutecznie rządy domu. Nic mi nie starała się ułatwić, ani jednego kroku nie zrobiła naprzód sama. Nie obznajomiła mnie z wadami i przymiotami tych, którzy nas otaczali. Nie znałem ich historji, oni nie znali mojej nawzajem. Nic mnie z temi ludźmi nie wiązało, ani wspomnienia przeszłości razem przeżytej, ani nadzieje lub obietnice na przyszłość. Dom mój własny był dla mnie dotąd hotelem i niczem więcej. Gdyby Ernestyna była inną, moje położenie tak przykre, tak uciążliwe, mogło było zmienić się w jednej chwili. Są godziny, kiedy wszystko spi w około, kiedy ogień na kominie dogasa, a małżonkowie siedzą jeszcze we dwoje u ogniska i wtedy powierzają sobie najskrytsze myśli, udzielają wspólnie uwag nad całem swojem otoczeniem, nad prowadzeniem dzieci, urządzeniem domu i gospodarstwa. Wtedy to z całem zaufaniem dusza w duszę się wciela, serca się rozgrzewają opromienione blaskiem miłości czystej, swiętej, przez Boga samego opromienionej, a przez ludzi uszanowanej. U nas nie istniały te słodkie chwile. Zawsze ten sam przymus, zawsze brak zaufania, nigdy tej wspólności myśli, uczuć, czego tak gorąco pragnąłem. Dokładałem wszelkich starań, by przełamać tę niewidzialną

zaporę, która nas nie dzieliła, by stopić ten lód, który mroził każde nasze zetknięcie. Wszystko nadaremnie! Byłem za długo w życiu Ernestyny imieniem tylko, a nie człowiekiem, nie korzystałem z pierwszych chwil poślubnych, kiedy najłatwiej mężowi zyskać miłość żony, gdy ciekawa, jak każda niemal córka Ewy, kosztuje po raz pierwszy owocu wiedzy, gdy miłość złotym kluczem rozkoszy otwiera jej bramy raju. Dla nas te chwile zostały niestety bez echa. Za krótko to wszystko trwało, by zostawić po sobie wspomnienie. Dziś widocznie było na to za późno. Nie było dla mnie miejsca w sercu Ernestyny, nie umiałem znaleźć drogi do niego. (C. d. n.)

SZABAS.

Kto ludzi świąt pozbawia, ten im słońce kradnie.

. . . .

Dzień się kończył. Na domy stłoczone bezładnie
I na ludzi, zdyszanych w gonitwie za złotem,
Padał blask purpurowy.
Był piątek.
Z łoskotem
Zamykano drzwi kramów.
Jak by na znak dany,
Nikły stołki z chodników, a z ulic stragany.
Robiło się przestronnie, świątecznie i czysto.
Rzekłbyś, że słońce miotłą wymiata ognistą
Ulice, i ład czyni na przybycie Boga.

Kupczyć nawet handlarka przestała uboga,
Której całym majątkiem koszyczek czereśni.
Miast brzydkiego szwargotu, słychać było pieśni.
Lichwiarz odłożył księgę cyframi pisaną
I nie chciał tknąć brylanta, który zastawiano.
Przycichła w sercach chciwość i namiętność dzika;
Wierzyciel pozostawił w spokoju dłużnika,
Wróg wroga. Pozdrawiano się wzajem życzliwie.
Żniwiarze, na tej samej pracujący niwie,
Podobnie się jednoczą w odpoczynku chwili.
Bogacze i nędzarze czoła rozjaśnili,
I najuboższy szatę przyodział świąteczną,
Każda twarz wypiękniała pogodą serdeczną,
Każde barki schylone dźwignęły się dumnie.

Kiedy słońce zagasło w ołowianej trumnie,
Falą ludzi dzielnica zalała się pusta.
W milczeniu i z powagą pętającą usta,
Niosąc duże, w pargamin oprawione księgi,
Tłum płynął wśród zaułków, na kształt czarnej wstęgi.
Ściemniało się.
Świątynia, w złotych blaskach cała,
Jak kokosz na pisklęta, na wiernych czekała.
Weszli — i zaraz każdy skłonił się przed Panem —
I chór jęków żałośnych zabrzmiał huraganem,
I z serc naprzód do nieba uleciały skargi;
Ale wnet jęły ciszej poruszać się wargi,
Na lica weszła jasna, świąteczna pogoda —
I gwar modlitw popłynął równo, jako woda.

. . . .

Gwiazdy lśniły na niebie, a światła na ziemi.
Jasność lała się z okien zdrojami złotemi,
I plamiła gdzieniegdzie szarawe tło murów.
Usłyszałbyś w błękicie śpiew anielskich chórów,
Taka cisza leżała na pustych ulicach.
Z płatów mroku, domostwa całe w błyskawicach,
Wychodziły jaskrawo, jak nocne widziadła.
I zdało się, że niebu ziemia blaski kradła.

. . . .

W starym domu, w uliczkę wsuniętym zmroczoną;
Stół świąteczny rodzinne otoczyło grono:
Mężowie i niewiasty.
Z twarzy i odzienia
Czytałeś, że w tem gronie są trzy pokolenia:
Dziad z licem patryjarchy, ojciec z kupca twarzą,
I syn.
Jako orlice, gdy o słońcu marzą,
Tak wyglądała babka, stara macierz rodu.
Oczy jej, co gwiazdami bywały za młodu,
Teraz lśniły matowo, jak szkło przepalone.
Synowa miała lice tłuste, zrumienione,
Na których błyszczał spokój — głuchy spokój ciała.
Wstęga z dużych bursztynów z szyi jej spływała.
A głowę zdobił czepiec z jaskrawemi wstęgi.

Pod świecznikiem, co rzucał wielkie światła kręgi,
Dojrzałem wnuczkę. W blasku umyślnie usiadła.
Pośród złoconych naczyń i na wprost zwierciadła,
By lepiej uwyraźnić i strój i urodę.
Oczy jej, barwy piekła, gorące, bo młode,
Migotały niepewną, skrytą błyskawicą,
Jak płomienie zarzewia, nim się stosu chwycą.
Była blada jak dziewa z krainy piramid;
Stroiły ją koronki, perły i aksamit;
Z uśmiechu była sfinksem — lecz ten sfinks zbudzony,
Możeby tygrysiemi umiał błysnąć szpony...

Babka wstała i lica zakrywszy rękoma
(Każda rozmowa z Bogiem winna być kryjoma)
Jęła szeptać modlitwę nad ogniem i ciastem.

Biały księżyc, co płynął po nad sennem miastem,
Stanął w oknie komnaty, jakby go wołano.
Na stole, gdy zeń szmatę zdjęto haftowaną,
Ukazały się wonne, szabasowe *chały*...
Sosnowe belki domów cedrem zapachniały,
W złoto zmienił się mosiądz, srebrem błysła cyna,
A gdy dziadek, nalawszy w duży kielich wina,
Odmówił nad nim *kidusz* i dotknął doń usta,
Przy stole gwar wybuchnął i wesołość pusta,
Dźwiękła pieśń, budząc echa uspionej ulicy:
„O wynijdź oblubieńcze do oblubienicy.“
Zrobiło się wesoło i jasno i składnie...

. . . .

Kto ludzi świąt pozbawia, ten im słońce kradnie!

R. L.

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Król Cetewayo przywieziony został w zeszłym tygodniu do Londynu. Przyjmowano go z pewnemi honorami. Ubrany był w cylindrze, surducie, spodniach, ale bez koszuli i boso. Pomimo wielkich braków w toalecie, zachowanie się jego było dumne i pełne godności. Król przybył do Anglji wraz z całym swoim dworem i kilku żonami. Podczas podróży ulubioną jego rozrywką było łowienie ryb na wędkę. Angielskie dzienniki tak opisują wyjazd króla z Afryki: Wsadzono króla na okręt w porcie Dumford; użyto do tego łodzi silnie zbudowanej, gdyż w nowym tym porcie niema jeszcze pomostu do wylądowania. Do stromego brzegu przybijać można tylko przy wietrze południowym. W chwili gdy przyprowadzono jeńca i jego towarzyszów na brzeg, obrócił się wiatr z zachodu ku południowi, wsadzono ich szybko do łodzi, a gdy ta odbiła od brzegu fale już szły wysoko, bo przy tym wietrze biją silnie o brzeg wody oceanu Indyjskiego. Król lękał się, gdy go prowadzono po kładce do łodzi, nie chciał wsiąść, dopóki nie ujrzał wszystkich swoich towarzyszów w łodzi; obawiał się bowiem, aby go samego nie odwieziono do niewoli. Na cześć króla ozdobiono łódź flagami, lecz Zulowie nie zwracali na to uwagi, wkrótce bowiem dostali choroby morskiej. Gdy łódź przybiła do statku, nie można było z powodu wysokiej fali zarzucić pomostu, przeto dwaj oficerowie stojący na schodach statku, wyciągali każdego Zulusa z łodzi na schody, po których na czworakach wczołgali się na statek. Gdy przyszła kolej na króla, wczołgał się także na czworakach, a stanąwszy na pokładzie westchnął głęboko, bądź z rozpaczy, bądź z radości, że się wydostał szczęśliwie z łodzi; oglądał potem z dziecinną ciekawością wszystkie szczegóły. Król otrzymał dwie kołdry wełniane i dwa materace, Zulowie po jednej kołdrze i po jednym materacu. Wkrótce pogodzili się jeńcy ze swoim losem, i zajmowali się ciekawie wszystkiem co widzieli i słyszeli. Urządzono na pokładzie namiot, mający 12 stóp □, gdzie umieszczono kobiety i służbę króla. Król sam udał się także do tego namiotu, gdzie pozostał do dnia następnego. Gdy wyszedł, oprowadzali go oficerowie służbowi po całym statku, on zaś często wyrażał głośno swoje zdziwienie i zdumienie. Najwięcej zachwyciła go machina parowa, lecz nie dał się nakłonić, aby zejść do samej machiny. Zdziwienie swoje nad dziełami białego człowieka objawił wyrazem „whowo“. Znaczenia wielu przedmiotów w kajutach znajdujących się nie mógł pojąć mimo wszelkiego objaśnienia. Zapytał tylko jak stary jest okręt i wiele wołów kosztował? Cena wyrażona przez liczbę wołów, zdawała mu się bajeczną. Opierał się bardzo podróży do Capstadtu, gdyż dowiedział się od szpiegów wiele złego. Pod koniec podróży uspokoił się jednak, mówiąc, że wiedział od początku, iż jest kozłem ofiarnym. Zwalał przytem winę na młodych, których powstrzymać nie mógł, gdy wojna się zaczęła i na Anglików także, którzy przedłużali wojnę aż do tragicznego końca.

Wiedeń. Nadzwyczajny, poseł króla Hiszpanji Alfonsa, książę Edward de Carradelet le Donato-Baylen prosił dnia 21. z. m. o godzinie 2 popołudniu urzędowo o rękę arcyksiężniczki Krystyny dla swego monarchy, naprzód u cesarza, jako głowy rodziny, a następnie u narzeczonej. Już o godzinie pierwszej podwórze Burgu zapełniło się publicznością, zebraną w celu zobaczenia uroczystego wjazdu dziewosłębów. O ½ do 2giej nadjechała c. k. gwardja, mająca w sali ceremonialnej uczestniczyć w uroczystym tym akcie; następnie przybył mistrz ceremonji hr. Hunyady na czele orszaku, który ma towarzyszyć arcyksiężniczce do Hiszpanji. Stanowią go marszałek dworu książę Kincky, marszałkowa margrabina Gabrjela Pallavicini; szambelanowie: hr. Feri Bellegarda, hr. Antoni Mitrowsky i damy dworu: hr. Irena Andrassy (córka hr. Emanuela) i hr. Henryka Coppy. Za danym sygnałem o zbliżeniu się arcyksiężniczki Krystyny, straż wojskowa wystąpiła pod broń. Po prawej stronie narzeczonej siedziała jej matka arcyksiężna Elżbieta. Powóz zatrzymał się przed schodami ambasadorów, a nim się dostojne damy udały do wnętrza Burgu, można było przypatrzeć się bliżej ich tualetom. Arcyksiężniczka Krystyna miała powłóczystą suknię koloru blado-różowego, ustrojoną bogato w koronki. Sploty włosów ozdobił dyadem z pereł. Tualeta arcyksiężnej Elżbiety była z przepysznej lilji. Kilka minut przed drugą nastąpił uroczysty wjazd księcia Baylen. Pochód otwierali dwaj żandarmi na przodzie; za nimi postępowały trzy galowe powozy dworskie. W pierwszym siedziała świta ks. Baylen; w drugim członkowie tutejszego hiszpańskiego poselstwa, w trzecim ks. Baylen ze swoim honorowym szambelanem ks. Odescalchi. Ten ostatni powóz o ścianach szklannych, był najbogatszym. Swaty trwały około pół godziny, poczem ks. Baylen opuścił Burg tym samym porządkiem, jak przy wjeździe, udając się z wizytą do arcyksięcia Albrechta, a ztamtąd po powrocie arcyksiężniczek do swego hotelu. Brylantowy pierścień, jaki ks. Baylen w imieniu króla wręczył arcyksiężniczce, nosi początkowe litery obojga narzeczonych. Innych podarków nie było, natomiast po wjeździe uroczystym arcyksiężniczki do Madrytu będą jej natychmiast złożone przez marszałka dworu klejnoty koronne. Wyjazd arcyksiężniczki do Madrytu nastąpi 18 listopada. Król będzie oczekiwał swoją narzeczoną na granicy hiszpańskiej w Fuenterabia.

Nowy teatr. Dnia 27. września odbyła się inauguracja nowego teatru w Lyonie, który to miasto winno jest prywatnemu człowiekowi.

Nietylko Lyon, ale cały świat przemysłowy zna nazwisko Guimet, bo tak nazywał się inżynier, wynalazca błękitnej farby, noszącej jego nazwisko a używanej do farbowania jedwabiu. Wynalazek ten przyniósł panu Guimet przeszło dwadzieścia miljonów franków.

Syn jego godnie używa bogactwa, które po ojcu odziedziczył, dzieli on swój czas między naukę języków wschodnich i muzykę.

W swoich podróżach na wschodzie i w Japonji zebrał on wspaniałe muzeum miejscowych osobliwości i zamierza uczynić z niego dar swemu rodzinnemu miastu; nim zaś to nastąpi, obdarzył on Lyon teatrem ludowym, ale tylko co do zamierzonego użycia go do przedstawień ludowych, bo co do bogactwa i przepychu urządzenia, teatr ten może żadnemu z istniejących w stolicach europejskich nie ustępuje.

Sala pomieścić może do 3.000 widzów; teatr ten nazywać się będzie Bellecour. W suterenach urządzoną jest olbrzymia restauracja i kawiarnia. Niczego tam nie brak, kuchnie olbrzymie i piwnice chłodne i obszerne, mieszczące prawdziwe akwarja dla utrzymania żywych ryb na każdą potrzebę.

Na wyższych piętrach są obszerne foyer, cukiernia i wykwintny bufet.

Zakład ten miałby szalone powodzenie w Paryżu.

Pierwsze widowisko trwało od godziny 7. do 1. po północy wśród niesłychanego entuzjazmu publiczności.

Wielka liczba reprezentantów prasy paryskiej znajdowała się przy tej uroczystości inauguracyjnej.

r

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.